



Urodziny w mrocznym domu

- Zagranie takiej roli po prawie czterdziestu latach pracy w teatrze wydało mi się zabawne - mówi Krystyna Janda. Aktorka postanowiła uczcić swoje 60. urodziny „Zmierzchem długiego dnia”. W najnowszej premierze Teatru Polonia gra kobietę, która... nienawidzi teatru

Piotr Guszowski
* metro@agora.pl

Wybór padł na utwór amerykańskiego dramaturga Eugene'a O'Neill'a, silnie inspirowany osobistymi wątkami z życia autora, za który zresztą otrzymał pośmiertnie Nagrodę Pulitzera. To rzecz o samotności, skomplikowanych rodzinnych relacjach, o niemożności porozumienia się z najbliższymi. Ale też o teatrze.

„Zmierzch długiego dnia” pokazuje jeden dzień z życia zamożnych Tyronów: po pozornie beztroskim poranku atmosfera w domu robi się coraz bardziej napięta, wzajemne oskarżenia narastają, a wraz z nimi pogłębia się konflikt pomiędzy domownikami, zmagającymi się z uzależnieniami i własną niemocą.

Janda reżyseruje spektakl, wciela się również w postać uzależnionej od morfiny Mary, która wraca do domu po terapii.

- Mary nienawidzi teatru. Uważa, że jest on jednym z głównych powodów jej nieszczęść: zabrał jej męża i uśmiercił dziecko - opisuje postać jubilatka.

W roli męża aktora Jandzie partneruje Piotr Machalica, z którym wielokrotnie spotykali się na scenie. Ich dorosłych synów grają Rafał Fudalej i Michał Żurawski lub Piotr Żurawski, a służącą - Patrycja Szczepanowska.

Z Krystyną Jandą
rozmawia Piotr Guszowski

W październiku odebrała pani nagrodę za niepokorność twórczą. Czy nie jest to najlepsze podsumowanie jubileuszu?

- Zastanawiałam się trochę nad zasadnością tej nagrody. Za niepokorność można było mnie nagradzać do pewnego momentu, ale potem... Chociaż niepokornością jest chyba także ciągła praca na przekór mo-



Krystyna Janda i Piotr Żurawski podczas próby medialnej do spektaklu „Zmierzchem długiego dnia”

dom i tendencjom, to, że ryzykuję właściwie w każdej roli, w każdym przedsięwzięciu. Myślę, że można to tak podsumować.

Funkcjonuje pani obecnie w aż ośmiu różnych wcieleniach scenicznych. Zdarzyło się kiedyś, że przyszła pani do teatru i dopiero na miejscu dowiedziała się, jaki spektakl będzie grany?

- Nie, natomiast często jest tak, że cały dzień jestem czymś zajęta, mam inne próby i nagle przypominam sobie, że jeszcze wieczorem przez te dwie godziny muszę coś z ludźmi przeżywać w teatrze. Po tylu latach uprawiania zawodu aktora mile jest to, że właściwie w każdej chwili mogę zagrać którąś z ról i nic mi przeszkadza: wszystko mam w głowie, narzędzia mam w sobie. Oczywiście teatr jest sztu-

ką zespołową, potrzeba całego tego entourage'u, lecz tak naprawdę przez mikrofon mogłabym zagrać każdą z ról.

Podobno zdarza się jednak, że Krystynę Jandę trzeba wręcz wypychać z garderoby na scenę.

- Występuję trzysta razy rocznie, to bardzo dużo. Proszę sobie wyobrazić, że siedemset godzin trzeba być w najwyższej emocji. Takiej jak człowiek, który bierze ślub czy zdaje maturę. A jednocześnie trzeba umieć łatwo z tego wyjść. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że spektakle mnie nic nie kosztują. Czasem zastanawiam się, co bym dała, żeby nie wychodzić na scenę. Zresztą w środowisku zdarzyło się kilka razy takie niespodziewane opuszczenie teatru przez aktora, zejście z okrętu. Doskonale ich rozumiem.

Przyjdzie może kiedyś taki wieczór, że i ja powiem: „Zapłacę wszystkie kary, oddam publiczności za bilety, tylko nie każcie mi dziś grać!”. Na szczęście jeszcze się to nie zdarzyło, bo po pięciu minutach na scenie to uczucie mija. Lecz nieraz siedząc na dole w garderobie, słyszę, jak ludzie idą po schodach i myślę sobie: „Matko, idą. Po prostu zwariuję zaraz!” (*śmiech*).

W każdym razie póki co na emeryturę się pani nie wybiera?

- Na razie nie, chyba że mi się coś stanie. No zobaczymy. Może złamię nogę. Chociaż nie, właściwie w żadnej roli złamana noga by mi nie przeszkodziła (*śmiech*). Iza Kuna grała u nas ze złamaną nogą, nie odwołałmy wówczas spektaklu. Miała jedną scenę czolganą, ale jakoś jej kole-dzy pomogli. *